

Matematyka farsy

WOJCIECH NATANSON

665

Uważano niegdyś, że recenzje powinny się ukazywać tuż po pierwszym przedstawieniu. Nawet Boy biegał, w latach dwudziestych, nocami do drukarni, pisał na gwałt, sam robił korektę. Później można było pisać — nazajutrz. Zdarzyło się co prawda, że Karol Irzykowski zamieścił omówienie „Rozkosznej dziewczyny” po zejściu sztuki z afisza, choć była grana... ponad sto wieczorów.

Dzisiaj praktyka bywa odmienna. Niektóre teatry przysyłają zaproszenia po wielu tygodniach, a nawet... miesiącach. Może im (i słusznie!) niezbyt zależy na opinii krytyka? Czy szkoda miejsc? Czy ulegają złudzeniu, że recenzent (szczególnie taki, który w teatrach pracował) pozna się na niedociągnięciach, braku zgrania? Ale pomyśleć, że w takiej dziurze jak Paryż recenzenci przychodzą — na generalną próbę.

Dlatego sam się niekiedy „wdzieram”; telefonuję, korzystam z uprzejmości kierownictw. Postąpiłem w ten sposób z okazji „Wesela Fonsia” na Zoliborzu. Kilka innych premier na razie „uciekło” z powodu urlopów. Ale udało mi się zobaczyć przedstawienia paryskiej farsy „Taaaka ryba” w „Bufo”.

Myślę, że autorzy, J. J. Bricaire i M. Lasaygues, dobrze opanowali „matematykę” farsy. Przyjawszy absurdalne założenie, umieli z niego wyciągnąć konsekwencje — zabawy. Chodzi tu o człowieka, który lubi zmieniać towarzyski życia, ale chce to czynić bezboleśnie, unikając scen, wyjaśnień, wyrzutów. Woli więc „znikać”, pozorować utonięcie podczas wczasów rybackich, ubezpieczając się przedtem na życie.

Sytuacje obfitują w niespodzianki. Zmieniają się błyskawicznie, kpiąc z rygorów prawdopodobieństwa. Wszystko co niemożliwe staje się faktem. Życie składa się z samych zbiegów okoliczności, jak w „Memoarach” Choromańskiego.

Można do nas przenieść taką farsę — pod trzema warunkami dobrego tłumaczenia, sprawnej inscenizacji, odpowiedniego aktorstwa. Jako współtłumacza „Dudka” Feydeau (od którego się ten gatunek wywodzi) rozumiem trudności. Wydaje się, że Andrzej Miłosz wybornie spełnił swe zadanie. W dialogu znalazł odpowiednie gry słów. Przyszli mu z pomocą autorzy zabawnych piosenek, Gozdawa i Stępień. „Faszerowanie” tekstu, nieraz nadużywane i zbędne, tutaj rozwiązuje sytuacje, zbyt już, na nasz gust, napięte.

Co do reżyserii Kazimierza Brusikiewicza, wykorzystuje szanse jakie daje tekst. Dobrze operuje sytuacjami i ich następstwem. Może dałoby się tylko zanotować, że pierwszy akt jest nieco rozciągnięty. Należy chyba przyspieszyć tempo, upodobnić je do rytmu stosowanego w akcie drugim. Wreszcie — sprawa gry aktorskiej. Na przedstawieniu, które oglądałem, najbardziej mnie zainteresowały dwie postaci, może najlepiej ujęte w samym tekście, ale z szansami brawurowo wykorzystanymi przez wykonawców. Z jednej strony Tadeusz Pluciński, w roli przyjaciela, bliższy sprawnością ruchu i intonacji, szybkością i wyczuciem tonu, wybornym nawiązywaniem kontaktu z partnerami. Druga wymowna rola to Sydonia grana przez Krystynę Sienkiewicz. Ile wdzięku, naturalności, oryginalnego humoru i dowci-

pu! Gdyby jeszcze dykcja stała na tym samym poziomie! Ale — trudno o ideał w teatrze.

Reszta wykonawców ma swoje zalety. Bolesław Woźniak skutecznie walczy z trudnościami, które wynikają z braku predyspozycji do roli wygodniścia uwikłanego w niemal cyrkowe zawikłania. Elżbieta Nowacka ma kilka momentów dowcipnych i wdzięcznych, choć musi przemóc monotonię efektów z rewolwerem. Pola Raksa raz po raz mdleje i ulega sprzecznym porywom. Andrzej Przyłubski po wygłoszeniu prologu gra jeszcze zapalonego agenta ubezpieczeń.

Obsada jest podwójna, a nawet potrójna. Przepraszam, że nie o wszystkich mogę napisać. Nec Hercules contra plures.